



„KWIATEK”.



Napewno niewiadomo, gdzie poraz pierwszy zastosowano ten wyborny i sympatyczny sposób zbierania ofiar. Nie ulega wątpliwości, że jest to środek najskuteczniejszy, żeby w krótkim czasie, bo w cią-

gu jednego dnia, zainteresować najszersze masy i zgromadzić takie sumy, o jakich się nie śniło najdoświadczeńszym organizatorom balów, zabaw, koncertów etc.

Słoweńscy księża w pewne, z góry oznaczone uroczystości, miewają kazania na temat ofiarności chrześcijańskiej, poczem zbierają ofiary na instytucje dobroczynne. Są to kazania ubogich. Ma to swoje niedogodności. Nie wszyscy tego dnia są w kościele, a instytucje, domagające się ofiar, muszą mieć pewien określony charakter.

Wszystkie dotychczasowe sposoby zbierania pieniędzy na cele dobroczynne miały wiele stron ujemnych.

Przedewszystkiem trudność organizacji.

Najbardziej używane sposoby t. j. bale, koncerty i zabawy pod gołym niebem, do których wliczam wszelkiego rodzaju wycieczki, wymagały ogromnie wiele pracy i zachodu od organizatorów, którymi nb. mogli być ludzie specjalnie wyćwiczeni w tego rodzaju zabiegach.

Więc niezliczone sesje, na których ścierały się zdania, przedewszystkiem, co do samego charakteru tych lub innych sposobów. Za tem szło o wynalezienie ludzi specjalnie wyćwiczonych w organizacji, sposobach

„weiskania biletów”, posiadających liczne stosunki, a głównie mających dużo czasu.

Następnie trzeba było wynaleźć salę na bal, koncert, ogród na zabawę, punkt zamiejski na wycieczkę, sklep na wentę. Porozumienie nie przychodziło łatwo, a wybór nie zawsze był jednomyślny. Następowaly sprzeczki, kłótnie, rozchodziły się najlepsze przyjaciółki.

Niežnośna była obawa ryzyka. Za wynajęcie miejsca, przygotowanie biletów i ofiszów, różnych „confetti” należały się znaczne sumy, o których do ostatniej chwili nie wiedziano, czy się wróca. Nie zawsze wystarczała głośna firma artystyczna. Pamiętam koncert w Filharmonji z Anselmim, na który sprzedano biletów za dwieście rubli, a tymczasem sam uwielbiany śpiewak wziął... tysiąc rubli.

Jak zmora niežnośna ciągnęła za dobroczynnością karota. Wiecznie te same osoby płaciły daninę ofiarną. Brało się książkę telefoniczną i wypisywało nazwiska lekarzy, adwokatów, kupców etc., chwyciło się za poły licznych lub nielicznych znajomych. Kto zjadł choć raz łyżkę barszczu, drogo musiał płacić za przywileje gościnności. Rodzina, która posiadała w swem gronie jakąś „dzielną” organizatorkę miała zapewnianą zabawę przez cały boży rok.

Do kosztów biletów przyłączały się wydatki na stroje, karety, dorożki, kontramarkanie — no i nieodłączne cukierki.

Przez długie lata Warszawa w niesłychany sposób wyzyskiwała artystów, a jej „ulubieńcy” byli formalnie „rozrywani”. Pod

grozą utraty popularności nie wolno było wziąć grosza za występ dobroczynny, a przecież sama tualeta i przejazdy pociągaly za sobą pewne nieraz znaczne wydatki. Dopiero w ostatnich czasach utarł się chwalebny zwyczaj skromnego wynagradzania artystów z pozostawieniem wieńców i szarf z „wdzięcznemi” napisami, zawsze miłych dla kapłanów i kapłanek sztuki.

Nie licząc pracy i zabiegów, każda impreza filantropijna kosztowała wiele pieniędzy, z których biedni czasem nie mieli ani grosza korzyści. Dostawały się im „resztki“, które nieraz śmiesznie wyglądały w porównaniu z kosztami; czasem mieli zero, za które nie można kupić marnego serdelka, a jakże często organizatorowie dopłacali, wyrzekając się na przyszłość wszelkiej filantropji. Do tego dołączało się ryzyko pogody, które było potrzebne na parę godzin. W „Kwiatku„ rozkłada się ono [na cały dzień.

Ofiarność publiczną zrażała przytem trudność kontroli. Głośne nazwiska organizatorów dawały rękojmię, ale gdzie występowali ludzie nieznani, tam przy najuczciwszem poprowadzeniu sprawy publiczność szła na ślepo. Ogromne tu było pole dla złośliwej krytyki, plotek i oszczerstw, co zamykało niejedną kieszeń.

Nakoniec jedni i ci sami ludzie dawali ciągle i na wszystkie strony. Całe masy sprytnych egoistów i niezamożnych warstw nie dawały nic, nie mówiąc o ludzie, dla którego ofiar nie było wprost rubryki w księdze filantropji.

Warszawa nie znała ofiar groszowych. Sposoby używane za granicą były niemożliwe z powodu natury politycznej.

Warszawa na zawsze zachowa niewdzięcznej pamięci nazwiska ludzi, którzy swoje zdolności, spryt, pomysłowość, czas i pracę nieśli w ofierze biednym; zasługa ich jest wielka, bilans finansowy, jak na nasze warunki, ogromny, ale sposoby przez nich używane miały tyle wad, że prawdziwą klęską by było, gdybyśmy do nich wracać musieli.

„Kwiatek” zastąpił wszystko i dał rezultaty, o jakich dawniej nikomu się nie śniło.

Posiada on wielkie zalety a przede wszystkim łatwość organizacji. Komitet, stojący na czele instytucji obmyśla wszystko, oblicza, zamawia kwiatek w odpowiedniej ilości i zaprasza dziesięć pań do zorganizowania kadrów kwestarskich — oczy-

wicie wyjednywa pozwolenie. Wielkiem ułatwieniem jest to, że worki do zbierania ofiar wypożycza się za pewną opłatą od innej instytucji, która znów ma z tego odpowiedni dochód. Największa trudność jest w zebraniu kwestarek, których trzeba dużo. Dopóki nowość bawiła, o zbierających było łatwo. Obecnie jest coraz trudniej, a gdy w grę wchodzi lenistwo — wymówki są liczne.

Przedewszystkiem—przyzwoitość: paniątka „zaczepta“ przechodniów. Brzydkie i głupie porównanie. Cel szlachetny uświęca pewne formy, które są jasno określone i wykluczają wszelką możliwość nadużyć.

Grubjaństwa ze strony publiczności zdarzają się nadzwyczaj rzadko i są możliwe przy innych okolicznościach. Matki pozwalają na tyle „swobód“ swoim córkom, czyżby naprawdę tak raptownie odczuły „shoking“ przy tak niewinnej okoliczności.

To wszystko. A plusy?

Łatwość organizacji, o której powiedziałem wyżej, łatwość kontroli publicznej i niesłychane rezultaty finansowe.

Pogotowie zyskuje kilkanaście tysięcy rubli, najmniejsza kwesta przy słabej organizacji daje trzy do pięciu tysięcy rubli. Tego nikt i nigdy nie osiągnął z żadnych balów i koncertów. Dzięki temu „kwiatek“ pomnożył działalność istniejących instytucji, a ileż potworzył nowych!

Poruszę stronę pedagogiczną. Szerokie masy zostały wciągnięte do świętych zadań filantropji, gdyż umożliwiono im groszowe ofiary, a dzięki temu biedak z dumą nosi kwiatek i przestaje być żebrakiem, zawsze obdarowywanym — on także przyczynia się do osłodzenia losu biedniejszym od siebie. Młodzież, poświęcając swój czas, który mogłaby obrócić na rozrywki, dając trud fizyczny, uczy się poświęcenia w sposób najbardziej poglądowy.

Więc brońmy „kwiatka” i popierajmy go wytrwale.

„Warszawskie Tow. opieki nad zwierzętami“ (urządza kwiatek na bezdomne psy i konie. Szczęśliwa myśl i godna gorącego poparcia. Bieda dokucza równie dotkliwie bezdomnemu człowiekowi, jak i opuszczone-
mu zwierzęciu.

Niejeden się tem zgorszył.

Łatwość gorszenia się wskazuje, żeśmy daleko odbiegli od sprawiedliwości.

Ks. Szkołowski.



Antoni Watteau. Komendjanci. (Gilles, Scaramouche, Skapin i Arlekin.)

Sztuka francuska XVIII wieku.

Panowanie króla—słońca, Ludwika XIV-go nie sprzyjało samodzielnemu rozwojowi sztuki francuskiej.

Despotyzm króla w polityce odbijał się i w życiu dworu, który miał na posługi artystów niesamowolnych, lecz wiedzionych na jedwabnej wstążce życzeń i gustu monarchy. Wstąpienie na tron Ludwika XV i Filipa Orleańskiego rozpoczynają nowy okres sztuki.

Krępowana srogą wolą monarchy szlachta, zdobywa sobie niezależność za czasów panowania zniewieściałego Ludwika XV-go i olśniona blaskiem życia dworu, upojona szalem dworskich zabaw, poczyna sama swobodnie oddychać w rozkosznej atmosferze Wersalu.

Sztuka odzwierciadla wiernie prądy i myśli epoki. *Rococo* francuskie uzmysławia nam wyraźniej i lepiej charakter współczesnych ludzi, niż dokumenty historyków.

Rococo oznacza ten sam przesyt życiowy, co głowica koryncka, lub żebrowanie nawy gotyckiej z epoki „*flamboyant*“, jest patetycznym łabędzim śpiewem bohaterskiego stylu Odrodzenia.

Konwencjonalizm towarzyski, gracia i wdzięk przystrojonych w najkosztowniejsze tkaniny ludzi, którzy w takt piosnki Berangera, z całym poczuciem urody życia idą ku tragicznym porankom szafotu, wyraża się w zgrabnych elipsach ornamentyki *rococo*.

W połowie XVIII wieku cała Francja była olbrzymich rozmiarów teatralnym widowiskiem. Wzbudzanie podziwu, chęć błyszczenia w lekkomyślnym nieprzerwanym wirze „*fêtes galantes*“, „*fêtes de cour*“ było celem żyjących, uprzywilejowanych ludzi. Teatralne efekty, błyski rakiet, iluminacje parków, łączyły się żywo z treścią życia.



Franciszek Hubert Drouais.

Portret dziecka.

Malarze, jak genialny Claude Gillot, z upodobaniem komponowali stroje i dekoracje do widowisk teatralnych. Kostjum i koturn sceniczny począł obowiązywać i w życiu.

Epoka tak bogata w powaby i piękno życia, musiała mieć swych piewców, artystów, którzy z upodobaniem odtwarzali piękno chwili upadku Francji Ludwików, czyniąc to z niewysłowionym upodobaniem, jakie daje słodycz grzechu.

Sztuka francuska XVIII wieku znalazła w *Antonim Watteau*, swego przodownika. Watteau jest mistrzem ceremonji *rococo*, twórcą bukolicznych nastrojów, w których arkadyjski motyw łączy się z burleską *Boccaccia*, malarzem, uroczystości dworskich i wielkich zabaw ogrodowych.

W twórczości Watteau jest pewien motyw tragiczny. Malarz zmysłowej radości życia, rozkoszujący się wytwornością najpierwszych dam dworu, nosi w sobie znamię śmiertelnej choroby i świadomość blizkiego końca nocy upojenia i szalu.

A może to właśnie pobudzało artystę do wyszczerzenia kielicha rozkoszy do samego dna!

Obrazy Watteau mają w sobie rozlaną w ażurowych falbankach sukni kurtyzany melancholję, a postaci jego np. „Komedjanci“, mają pewien charakterystyczny wyraz świadomości zła i dobra i poczucia początku końca, stwier-

dzający, iż w duszy malarza Watteau kielkowały pierwociny romantyzmu.

Watteau miał mnóstwo epigonów i uczniów. Najbliższymi mistrza byli *Nicolas Laucres*, *B. Joseph Pater*, którzy naśladowali świetny jego koloryt, nie mogąc mu sprostać w rysunku. Watteau lubował się w przedstawieniu scen ogrodowych, nie wnikając zbyt w tajniki alko-

wy ówczesnych piękności. *François Boucher* był malarzem piękna ciała kobiecego, Mając w pamięci Rubensa, Boucher z całą nonszalancją gourmanda, odsłania tajniki piękności aktu, posługując się niesłychanie stopniowaną pikanterją.

Portres „królowej świata“ markizy de Pompadour, jest najwyższym wyrazem maestrii w traktowaniu stroju kobiecego, z którego Boucher umie wydobyć, owianą omdlałością, symfonję barw, ślizgających się wśród zwojów najdelikatniejszych koronek, tjułów i jedwabi.

Portret pani Pompadour jest niesłychanie sumiennym, wykończonym do najdrobniejszych szczegółów holdem artysty dla swej dostojnej opieki. Ilez niewysłowionej pikanterji i lubieżności kryje się w leżącej dziewczynie Boucher'a, ilez wdzięku, gracji, której zazdrościć muszą współcześni malarze kobiety.

Homeré Fragonnard był uczniem Boucher'a, lecz jako twórca prześcignął nauczyciela, który syt powodzenia, zadowolnił się zdobytą techniką



Franciszek Boucher.

Markiza de Pompadour.



J. B. Greuze.

Zasłuchana.



J. L. David.

Portret.

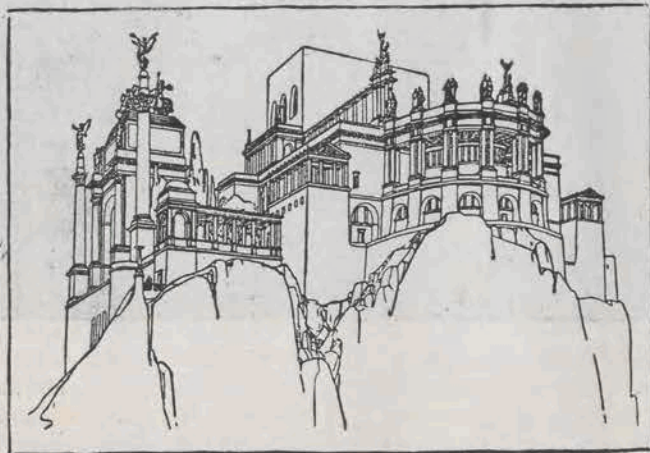
i rutyną. Fragonard niezadowolona się nikłym erotycznym tematem, lecz szuka u pokrewnych mu Włochów i Holendrów nowych dekoratywnych problemów, które z powodzeniem w dziełach swych przeprowadza, z rozmachem artystycznym szerszym i poważniejszym, niżli Boucher.

Słusznie nazwano wiek XVIII wiekiem kontrastów, gdyż obok zmysłowej minodezyjnej sztuki dworskiego *rococo*, powstaje spokojna, skromna sztuka mieszczańska. Przedstawicielem jej jest *Simeon Chardin* i *J. B. Greuze*.

Artyści ci zarzucają efekciarską kolorystykę i w portretach, scenach rodzajowych dążą do głębszego wnikania w ducha przedmiotu malowanego, nie bez pewnej moralizatorskiej tendencji. Słynna portretowa główka Greuze'a „Zasłuchana“, odznacza się doskonałością rysunku i sentymentem pewnym, wyrażonym w pięknej zasłuchanej główce dziewczyny.

Znakomitymi portrecistami tej doby byli również *J. L. David*, *Rigaud*, *Natier*, *Vigée Lebrun*, *Largillière* i *François Drouais*.

Marjan Dienstl.





J. A. Houdon.

Voltaire.



RONDEL-ROCOCO.

*W dziwaczne formy przystrzygane drzewa
szpalerem wiążą taras pałacowy.
Ni im konarów burza nie rozwiewa,
ani w obłoki nie wyniosły głowy.
Układny motyw pieśni gawotowej,
z głębi tarasu chór wioli śpiewa;
w dziwaczne formy przystrzygane drzewa
szpalerem wiążą taras pałacowy.
I tylko wietrzyk szeptanemi słowy
pieśń im podaje, która tam rozbrzmiewa,
gdzie nie bieleje taras pałacowy,
kiedy w obłoki aż wyniosły głowy
w dziwaczne formy nie strzyżone drzewa.*

M. W. Rudnicki.





Aleksander Zelwerowicz w „Lekarzu mimo woli”.
Fot. Malawski i Tawrell.



Stefan Jaracz w roli Grzegorza Dandin.
Fot. Malawski i Tawrell.

Teatr Polski. — Wieczór Moljerowski.

Wieczór Moljerowski w teatrze Polskim dowiódł, nad jakie przepaście prowadzi droga fałszywej stylowości, podrabianego tła, sztucznych, jaskrawych efek-

tów. Pokazano nam Moljera w zgoła niefortunnej oprawie, o skłóconych motywach i pogmatwanym stylu. Nic więc dziwnego, że postacie aktorów w ciężkich, z realistyczną drobiazgowością pojętych kostjumach, rażąco odbijały od secesyjnie potraktowanego tła, bynajmniej nie współmiernego z charakterem obu sztuk. Mimo, jednak, niefortunnej szaty zewnętrznej, rozhułała się wesołość największego z mistrzów śmiechu, w „Lekarzu mimo woli“ drwiąc niemilosiernie z napuszonej uczoności, w którą przyoblekła się głupota zwykłego drwala, zaś w „Grzegorzu Dandin“... Och, też nieszczęsny Grzegorz Dandin! Niedosć, że cierpi on najstraszliwsze męki z powodu przewrotności własnej żony, wskutek swej chłopskiej, bezbronnej prostoty, ale nadmiar złego nie pozwalają mu nawet być tragicznym. „Grzegorza Dandin“ należy grać groteskowo—woła większość krytyków. Jego cierpienie jest śmieszne i pozbawione wzniosłości! Tego samego o nim zdania byłby jego teść, pan de Sotenville, gdyby go o to zapytano, ów teść będący wcieleniem sztywności i bezgranicznej dumy arystokraty z czasów Ludwika XIV. Lecz co innego myśli o Grzegorzu p. Jaracz. Jego Dandin jest wzruszający i poważny w swym bólu. Jeżeli tragizm zdradzonego męża posiada wszelkie cechy komizmu, w takim razie p. Jaracz się omylił. J. A.

Adam Wiślicki.

(† 28 lipca 1913 r.)

Gdy w pierwszych latach po stłumieniu powstania kraj cały pogrążony był w beładzie duchowym, gdy zamarł w nim wszelki ruch i -wypełzył na wierzch wszystkie żywy reakcyjne, młody, trzydziestoletni talent, Adam Wiślicki miał od-

wagę stanąć na straconym, zdrażałoby się posterunku.

Posterunkiem tym był nowozałożony w 1866-ym roku „Przegląd Tygodniowy“. Pismo to, jedyny wówczas w Królestwie tygodnik społeczny, od razu podniosło sztandar postępu i było zwiastunem potężnego następnego ruchu „organicznych“.

Nic też dziwnego, że zarówno pismo, jak i redaktor jego uważani byli przez pewne sfery za wroga społeczeństwa i byli straszakiem swego rodzaju. Trzeba bowiem pamiętać, że „Przegląd Tygodniowy“ skupił wkoło siebie cały bojujący obóz pozytywistów i posiadał przez długie lata wpływ przemożny, na młodzież zwłaszcza.

Nie mniejszą zasługą jest również wprowadzona przez Wiślickiego w czyn myśl spopularyzowania książki naukowej. Wiślicki wydał przy „Przeglądzie Tygodniowym“ komplet dzieł Darwina, Spencera i Smilesa, wiele popularnych książek i sporo powieści ideowych, a wpływ uprzystępnienia prac wartościowych, dopiero po latach ujawnił się, dając dowód trafności wyboru ze strony Wiślickiego.

Lecz stosunki się zmieniły, Wiślicki stracił siły w walce i pracy redakcyjnej i, czując, że nie zdoła wydażyć zbyt szybkiemu rozwojowi wypadków, zamknął w 1905 r. pismo i usunął się od życia publicznego.

Czuwał jednak bacznie nad pracami społecznymi, czego dowodem testament jego, mocą którego zapisał znaczną, jak na nasze stosunki sumę na potrzeby czytelnictwa.

W ostatniej woli swej Wiślicki wyraził życzenie, by nie pisano mu nekrologów, trudno jednak spełnić to zarządzenie, gdyż zmarły był zbyt wybitną jednostką i zbyt wielki wpływ wywierał przez lata na społeczeństwo, by można było zgon jego pominąć milczeniem.

Całe życie był bojownikiem postępu, emancypacji kobiet, pracy u podstaw, a gdyby nawet czasem szedł błędną drogą — dzieje kultury polskiej XIX wieku nazwisko jego na zawsze przechowają.

m. w. r.



Femina

„POŻERACZE”.

W jednym z niedzielnych numerów „Kurjera Warszawskiego”, ukazał się artykuł pana Czesława Jankowskiego, charakteryzujący poważnie stronę społeczno-kobietą, powieści Anny Vivanti p. t. „Pożeracze”. Pomimo uznania dla pana Jankowskiego, zaznaczyć muszę, że kwestja ta, została lekceważąco i jakby żartobliwie potraktowana przez niego, na co zupełnie nie zasługuje autorka.

Anna Vivanti, w swej pięknej książce, porusza temat [bez wyjścia, krytycznej egzystencji bezwzględnego zaparcia się kobiety na korzyść egoizmu dziecięcego, młodości niefrasobliwej, i szarych drobiazgów życiowych, kobiety utalentowanej, uwielbianej przez cały naród, rokującej wielkie nadzieje na przyszłość. I oto zabrawszy jej talent, młodość i wszystkie atuty życiowe, córka jej odchodzi ze swym mężem nazawsze. Pożarta kobieta, patrzy z przerażeniem, że misja jej życia skończyła się i tylko pustka, jest przed nią... Z córką jej, zapewne będzie to samo...

W odpowiedzi na myśl, zawartą w „Pożeraczach”—na pytanie smutne i beznadziejnie zrezygnowane, pan Jankowski uśmiechnąwszy się pobłażliwie, porównywuje ją do idylli Rodocia, i wypowiedziawszy kilka pięknych i szlachetnych frazesów, że macierzyństwo jest najszczytniejszym powołaniem kobiety, zaznacza, że jeżeli dla tego zatraciła swój talent, to tak musiało być i że było to nawet jej świętym obowiązkiem.

I „kwestja skończona” a tak bolesna idzie do archiwum myśli ludzkich, na wieczne zapomnienie.

Lecz kilka szlachetnych frazesów o macierzyństwie, nie załatwią sprawy tak wielką posiadającej wagę dla każdego człowieka. Będą one tem kadzidłem przysłowiowym, pomagającym nieboszczykowi, niczem innym, i czas aby ktokolwiek bądź, idąc drogą [wytkniętą przez autorkę, nie zadowolniejszy się odpowiedziami, danymi dla pozbycia się kwestji, żywo obchodzącej

ogół kobiecy, zadał społeczności naszej kilka pytań. Czy kobieta utalentowana ma prawo, dla codziennych obowiązków życiowych, dla dogodzenia fantazji rozpieszczonego ukochanego dziecka, teroryzującego ją bezwiednie, swym egoizmem, na każdym kroku zatracać talent, ową iskrę bożą, tak rzadko zsyłaną na ziemię?

Czy miłość macierzyńska, powinna zabić w niej wszystko co wykracza poza obręb rodzi-ny lub społeczeństwa, zostawiając jedynie, egzaltowane ślepe przywiązanie do dzieci?

Czy małe drobiazgi, życia codziennego, zasługują na tak wielką uwagę, by przez szereg długich lat nie móc nic zrobić, dla duszy własnej? Choć częściowo, można na te pytania odpowiedzieć. Nie frazesem górnym, zalecającym przy poświęceniu, poddanie się pokorne losowi, lecz wnknąwszy naprawdę, w pożycie bohaterek Anny Vivanti i w szereg faktów, rozwijających stopniowo tragedję zaniku talentu, na rzecz powszedniości życiowych, do których w tym wypadku i miłość macierzyńska, pomimo jej wzniosłości zaliczyć należy.

Nie wiem czemu pan Jankowski, tak zignorował zasadniczą myśl powieści, i pomijając zupełnie autorkę, wraz z całą psychologją jej dramatycznych konfliktów życiowych, wypowiedział się z osobistymi poglądami, o macierzyństwie i powołaniu kobiety zgoła nie idącemi w parze z właściwą treścią zapytania, Anny Vivanti, zawartą w „Pożeraczach”. Zaiste, piękne i szlachetne przekonania pana Jankowskiego, w tym wypadku zupełnie chybiły, gdyż bohaterka wyżej wspomnianej autorki, nie tylko jest matką, lecz artystką, o tym najważniejszym fakcie, zmieniającym zupełnie całą kwestję, zapomniał, czy nie zauważył go pan Jankowski. Czyż nie nie powiedział śmiertelny krzyk genjuszu, umierającego w kobiecie — matce?

Tę okrutną tragedję artystki, poświęcającej swój talent, dla nadmiernej miłości, ten tragizm, zmarnowanego talentu, który rzuca pytanie świa-

tu, pan Jankowski, jakby lekceważąc go niezmiernie, zbywa zimnym i tak fałszywie brzmiącym w tej chwili komunałem, o szczytności macierzyństwa i co za tem idzie konieczności ofiary z ducha na rzecz „Pożeraczy“ trosk. Gdyby broniona przezemnie bohaterka, była przeciętną kobietą, rwącą się do czarów życia, i swobody, a obarczona ciężarem obowiązków rodzinnych

została wreszcie pożarta przez nie, zgodziłabym się z panem Jankowskim, że jej obowiązkiem i posłannictwem jest zrobić z siebie ofiarę na rzecz macierzyństwa. Ale marnowanie talentu jest krzywdą i w tym wyjątkowym wypadku trzeba poświęcić miłość najszlachetniejszą dla orlich skrzydeł nieśmiertelnego ducha.

Wera Skórkowska.

TRZY STROJNE TUALETY.



Tualeta balowa.

Przedstawiam dzisiaj Szanownym Czytelnikom trzy strojne tualety wyróżniające się nadzwyczajną wytwornością i będące wzorem elegancji *modern style*. Pierwsza jest tualetą balową letnią, cała misternie drapowana z białego *Crêpe de chine* odsłaniająca wysoko nogi, z modnym dekoltem, olbrzymi płaszcz biały pluszowy dopełnia całości. Druga jest tualetą teatralno koncertową, z ciężkiego brokatu białego w barwny deseń, na głowie modny zawój z tiulu czarnego. Trzecia jest tualetą obiadową z tak zwanego *satin feutre* z modnym owinięciem postaci, na głowie toczek z olbrzymią egretą.

Wszystkie trzy fotografowane były w wielkim Kasynie w Trouville — przed tygodniem.

Marcèle.



Tualeta wieczorowa.



Tualeta obiadowa.

SŁOMIANE WDOWY I SŁOMIANI WDOWCY.

Przyjętym i szeroko rozpowszechnionym zwyczajem lato rozłącza najczulsze nawet stadła małżeńskie, gasi domowe ogniska, przeistaczając najzupełniej tryb codziennego życia. Mąż i pan pozostaje dzielnie i nieustrudzenie na stanowisku walki o byt, tam gdzie ta walka się odbywa, to jest, w mieście, żona i pani udaje się wraz z dziećmi o ile je posiada, na tak zwane wilegjatury, których jest dziesiątki odmian i rodzajów, miejsca kąpielowe i zagraniczne, letniska podmiejskie lub dalsze, wieś u krewnych lub przyjaciół i t. d. i t. d. Pani jest na wakacjach, złożywszy brzemień domowych zajęć. Odpoczywa, cieszy się słońcem, oddycha pełną piersią balsamicznym powietrzem — jest jej wogóle *dobrze*. Czuje się samotną, bawi ją swoboda i zupełna niezależność. Czasem myśl o tym który pozostał sam, wśród wielko miejskich pokus, pokrywa chmurką jej jasne czoło... Co on tam robi?. Jak spędza czas wolny od zawodowych zajęć?.. Co tam słychać w domu?.. Następuje chwila zadumy, czy może tęsknoty, z lekkim podkładem zazdrości, najczęściej niestety usprawiedliwionej... Wtedy pani żałuje, że wyjechała — chciałaby na skrzydłach ptaka lub aeroplanu przelecieć i zajrzeć do opuszczonego gniazda... Na szczęście, przedstawia to narażenie niezwalczone trudności —

Pani wzywa na pomoc rozsądek, odzyskuje zimną krew i spokój i przechodzi do porządku dziennego, czekając cierpliwie soboty i przyjazdu swego pana i władcy. Sobota jest, jak wiadomo, o-wym dniem szczęśliwym, w którym słomiანი wdowcy udają się specjalnie dla nich wysyłanymi pociągami, do miejsca pobytu swych żon. Pociągi te nazywają u nas *mężowskiemi*, we Francji *trains conjugales* w Niemczech *Strohwitwerzug* co jest niezbitym dowodem, że tak się dzieje i na dalekim, szerokim świecie. Tak więc w sobotę pan zajmuje miejsce w swoim pociągu — dokoła niego piętrzą się paczki i paczuszki — pudła i pudełeczka z różnemi miejskimi rekwizytami, przeznaczonemi dla czekającej go żoneczki, pociąg pędzi do upra-

gnionego celu — Pan siedząc w oknie wagonu rozmyśla nad upłynionym tygodniem, robi rachunek sumienia i kieszeni — czasami zmarszczy gniewnie czoło — czasem figlarny uśmiech wywołany jakimś płochem wspomnieniem zawita mu na usta, lecz tłum go natychmiast, by go wypadkiem nie dojrzała, nie przeczuła ta, do której spieszy. Jeszcze godzinka i oto jest u celu podróży. Na peronie kolejowym widnieje tłum eleganckich, jasnych postaci. Słomiane wdowy czekają na przybycie mężowskiego pociągu, rozmawiając w przyspieszonym tempie, dzieci skaczą i krzyczą i po chwili ramiona wyciągają się do uścisku, usta łączą się w pocałunku, niknie chwilowo słomiane wdowienstwo... aż do poniedziałku. *Marcèle.*



Przyjazd pociągu mężowskiego.

CHOROBLIWE PRZYPADŁOŚCI WŁOSÓW.

Jedną z najbardziej rozpowszechnionych przypadłości cery, są tak zwane *wągr*y, nieraz bardzo uporczywe i odporne na stosowane przeciw nim środki leczniczo - kosmetyczne. Źródła tej skórnej choroby należy szukać głównie, w samej już właściwości danej cery, która bywa albo normalna, co ją broni przeciw wągrom, albo zbyt sucha, co wywołuje różne inne niedobory, lub też skłonną do

przetłuszczenia, co właśnie głównie powoduje wągr, czyli zatkanie przewodów łojowych w skórze się znajdujących. Wągr przechodzą zwykle przez trzy okresy, najczęściej systematycznie po sobie następujące. Pierwszy okres zaznacza się na skórze czarnymi punktami gęsto w porach rozsianymi, co się łatwo i szybko daje usuwać przy odpowiednim pielęgnowaniu. Okres ten zaniedbany, przycho-

dzi w krótszym lub dłuższym czasie w stadium drugie, powodujące już lokalne silne podrażnienia, to jest zczerwienia skóry, oraz wydzielanie się za nacisnięciem żółtawej cieczy, niszczącej cerę, powodującej silne rozszerzenie porów, sine lub czerwone znaki i t. d. Trzeci okres wągrów zaznacza się podskórnymi stwardnieniami, jakby guzłkami, bolesnymi przy silniejszym dotknięciu, niezmiernie

uporczywemi, wydzielającymi również ciecż, po wyciśnięciu której pozostają znaki zupełnie podobne do śladów po przebytej ospie. Tak przeważnie wyglądają wągry i takie powodują skutki. Chcąc się ustrzedz tych naleciałości o ile się posiada do nich skłonność, należy odpowiednio pielęgnować cerę z *natury tłustawą*. Trzeba myć twarz wodą przegotowaną ciepłą *otrąbkami Vesta*, dokładnie obetrzeć i nacierać *płynem Vesta*, (za pomocą waty) to powtarzać rano i wieczór przez czas dłuższy—a cera bezwarunkowo dojdzie do normy. Jeżeli wągry pojawiły się już na twarzy, trzeba stosować do mycia tak zwane *perelki alkaliczne*, a przy wągrych zadawnionych *pastę alkaliczną*, doskonale działającą. Przy trzecim okresie wągry, wybornie działają *kataplazmy Hamiltona* przykładane na noc, pod ceratką i flanelką. Gdyby przy tych środkach nastąpiło podrażnienie lub obrzmienie skóry, to trzeba na parę dni zaprzestać stosowania środków alkalicznych a twarz obmywać wspaniale działającą *wodą różaną radiowaną*, będącą jednym z najlepszych środków postępowej leczniczej kosmetyki. *Woda różana radiowana*, działa również zbawien-

nie na zdrowotność oczów, a tem samym na blask spojrzenia. Przy leczeniu wągry, można bez żadnej szkody posługiwać się *pudrem Vesta higienicznym* bardzo ładnie a nie szkodliwie matującym cerę. Wszystkie przezemnie wymienione środki leczniczo kosmetyczne mianowicie *otrąbki Vesta, płyn Vesta, perelki alkaliczne, pasta alkaliczna i puder higieniczny Vesta*, są wyrobami *Warszawskiej Kalotechniki* a wielka solidność i powaga tej firmy, jest gwarancją wyborczego tych środków działania. Co zaś do *wody różanej radiowanej*, należy ona do serji wyrobów *radioaktywnych i radiowanych* paryskich, których *Kalotechnika* ma zastępstwo.

Z przyjemnością zaznaczam i dzielię się z memi czytelnikami pożądaną dla niektórych z nich wieścią, że farba do włosów o której przed kilkoma tygodniami wspominałam, zwana *Eau de Juvence, Caro Lenveille*, paryzkiego chemika, zyskuje coraz to większe powodzenie i zdaje się, że przymiotami swemi istotnie wyjątkowemi, rozstrzygnęła bardzo zawiłą kwestję przywracania włosom siwiejącym i siwym, pierwotnego ich naturalnego koloru, bez szkody dla włosów, choćby najdelikatniejszych. *Pan Lenveille* dobrze się zasłużył krociom siwiejących ludzi!...

Jedynym przedstawicielem tej farby u nas jest *Roman Prochowski* (zakład fryzjerski).

KOBIETY NA UNIwersYTETACH NIEMIECKICH.

Od 1908 roku otwarty został kobietom przystęp na uniwersytety niemieckie. Liczba studjujących kobiet wynosi w tym sezonie 3,486, podczas gdy w roku ubiegłym wynosiła zaledwie 2,958, a pięć lat temu 1,198. Wzrost liczby słuchaczek waha się corocznie pomiędzy 738 a 383, a w roku bieżącym wynosi 478. Co do gałęzi nauki, któ-

rą sobie obierały kobiety, to idą one w następującym porządku: Filozofji, filologii i historii słucha obecnie 1,791 kobiet, a pięć lat temu 505, matematyki i przyrody 659, dawniej 175, medycyny 790, dawniej 332, ekonomji i gospodarstwa 100, dawniej 40, prawa 49, dawnie 20, teologii ewangelickiej 12, dawniej 3, aptekarstwa 9, dawniej 3.





Na tle strajku.

Optymiści wróżą strajkowi łódzkiemu szybki już koniec. Kto jednak uważnie się przyjrzy owemu zjawisku, ten musi przyjść do innego wniosku. Wprawdzie wróciła już znaczna część robotników do pracy, z uzyskaną podwyżką od 5 do 10%, ale dotąd jeszcze bardzo wielu strajkuje. Najskłonniejszymi do ustępstw byli fabrykanci drobni i wszędzie ci, którzy wyrabiają towary modne, przy tem najłatwiej dochodzi do porozumienia w przemyśle wełnianym. Natomiast w bawełnianym, reprezentowanym przez największe, najpotężniejsze towarzystwa akcyjne, fabrykanci zajęli niezachwiane stanowisko i nie chcą słyszeć o żadnych ustępstwach. Tam część robotników wróciła do pracy bez żadnych na ich korzyść ustępstw. Większość atoli nie wraca wcale i największe przedsiębiorstwa są dotąd nieczynne. Co na tem traci przemysł i jakie straty ponoszą sami robotnicy, trudno na razie obliczyć. Pewien odłam fabrykantów utrzymuje, że właściwie przemysł włóknicy przez strajki nie ponosi żadnych strat, gdyż są olbrzymie zapasy. W gruncie rzeczy straty muszą być, i to bardzo znaczne, a przerwa w produkcji, targanie jej prawidłowego biegu, musi się odbić bardzo dotkliwie na życiu ekonomicznem i niewątpliwie zaciąży na wielu dziedzinach życia ekonomicznego.

Co zaś robotnik traci, a co zyskuje na strajku, w najpomyślniejszym jego przebiegu? Fabrykanci obliczają, że przez cały czas strajku robotnicy stracili półtora miliona rubli, których nie będą mogli odzyskać w najbliższej przyszłości. Przypuśćmy, że ta cyfra jest przesadna i weźmy inne własne obliczenia przeciętne.

Jeżeli odliczymy tych, którzy porzuciwszy pracę w fabrykach, znaleźli ją gdzieindziej, jeżeli weźmiemy ogólną liczbę strajkujących w cyfrach okrągłych 50,000 i średni zarobek każdego robotnika — rubla dziennie, to będziemy mieli 50,000 rb. dziennie strat, ponoszonych przez robotników, czyli 300,000 rb. tygodniowo. Dotąd robotnicy uzyskują największą podwyżkę 10% i w najpomyślniejszym razie mogą ją w takiej formie zdobyć wszyscy. Jeżeli zaś weźmiemy średnie straty czasu każdego robotnika, poniesioną skutkiem strajku, tylko na cztery tygodnie pełnej pracy, to na wyrównanie straty w tym okresie czasu trzeba będzie zużyć 240 dni, czyli z potrąceniem niedziel i świąt oraz okresu redukcji pracy, robotnik strajkujący w ciągu czterech tygodni, w uzyskaniu podwyżki 10%, będzie

musiał cały rok pracować, ażeby tą stratę wyrównać.

Położenie robotników zatem, nawet po częściowem zwycięstwie, nie poprawi się bardzo, bo zresztą na zły stan ekonomiczny ludności robotniczej u nas wpływa bardzo wiele czynników społecznych i ekonomicznych: brak możliwości tworzenia takich organizacji, jakie za granicą przechodzą bez wszelkich trudów i przeszkód, t.j. brak szkół, wszelkich instytucji kulturalnych, brak związków zawodowych. Dalej—brak udogodnień życiowych, jak mieszkań, komunikacji, zdobywania tanich i zdrowych artykułów żywności i t. d. Robotnik polski pozostaje w zupełnem zaniedbaniu społecznem, ekonomicznem, kulturalnem i zdrowotnem. Skutkiem takich opłakanych warunków, jego praca jest znacznie mniej wydajna, niż praca robotników zagranicznych w tych samych gałęziach przemysłu.

W Towarzystwie popierania ulepszeń i rozwoju przemysłu fabrycznego w Petersburgu, z powodu podania o zmianę taryfy celnej, dokonano rachunku w porozumieniu z fabrykantami niemieckimi, ilu robotników i jak płatnych trzeba w Niemczech i Rosji na wykonanie oznaczonej ilości towaru, zupełnie jednakowego co do dobroci (w zakresie tkactwa). Okazało się, że w tym celu potrzebaby 653 robotników niemieckich, płatnych po 275 rb., którzyby otrzymali 179,500 rb. Ta sama robota wymagałaby 1,900 robotników rosyjskich, płatnych po 188 rb., którzyby otrzymali 199,000 rb. Robotnicy rosyjscy okazali się więc o 11% droższymi.

Porównanie płacy z produktywnością tak się przedstawia: Jeżeli płacę robotnika rosyjskiego oznaczymy przez 100, to płaca niemieckiego wynosi 147; jeżeli wydajność pracy robotnika rosyjskiego oznaczymy przez 100, to wydajność pracy robotnika niemieckiego wynosi 162. Nadto, szansa zepsucia roboty w jednym i drugim kraju ma się jak 1 : 7.

Obliczano, iż przeciętny zarobek robotników i robotnic polskich ma się jak 100 do 137, z uwzględnieniem tej obliczności, iż u nas znacznie więcej niż w Rosji pracuje kobiet.

Pod względem intensywności pracy fabrykanci w Królestwie Polskiem korzystają z lepszych warunków, niż rosyjscy. Według danych prof. Janusza, w okręgu centralnym liczba robotników, umiejących czytać i pisać, wynosiła 22—36% ich ogółu, przeciętnie 31%. W Królestwie Polskiem 36 — 56%, przeciętnie 46%. Nadto, robotnicy polscy odzwiają się lepiej, niż rosyjscy, szczególnie zaś kobiety. Wogóle cały ustrój życia robotnika polskiego jest lepszy, niż w Rosji. Wszystko zaś, co podnosi poziom umysłowy ro-

botnika, zwiększa zarazem wydajność jego pracy. To też z tych względów robotnik polski dla fabrykantów w Królestwie stosunkowo jest tańszy, niż rosyjski dla fabrykantów rosyjskich.

Ekonomista rosyjski, Brandt, twierdzi, iż w tych cechach robotnika polskiego tkwi siła, która w walce konkurencyjnej daje przewagę fabrykantom polskim nad rosyjskimi. Przewaga ta wpływa, zdaniem ekonomisty, z lepszego zrozumienia własnego interesu.

W ostatnich latach jednak znacznie się zmieniły ogólne warunki ekonomiczne oraz technika samej produkcji. Dziś technika owa wymaga większej intensywności pracy robotnika niż dawniej, a ta intensywność takowej przychodzi, dzięki właśnie udoskonaleniom technicznemu. Ale stosunek wydajności pracy mniej więcej pozostał ten sam dotąd. Robotnik polski pracuje intensywniej, niż rosyjski; ale w stosunku do wydajności pracy robotnika zagranicznego, wydajność pracy robotnika polskiego jest znacznie mniejsza, niż zagranicznego, a więc tem samem ze stanowiska techniki, robotnik polski jest droższy niż zagraniczny.

Na czem jednak polega sama istota większej lub mniejszej pracy robotnika w przemyśle włókiennym? Trzeba przedewszystkiem uprzytomnić sobie, na jakich warunkach w tej gałęzi przemysłu pracują robotnicy. W przemyśle przedziałanym i tkackim wszyscy robotnicy pracują „na akord“, t. j. od sztuki. Natomiast w farbarniach i apraturach przeważnie na tygodniówkę. Normalny dzień pracy jest 10 godzinny, a ponadto, podczas wzmożonej produkcji, robotnicy w niektórych fabrykach lub ich oddziałach pracują do trzech godzin dodatkowo, za co pobierają płacę dodatkową. Otóż takie warunki pracy akordowej dają możliwość robotnikowi rozciągania swej wydajności. To jest właśnie przyczyna tego zjawiska znamiennego, że w tej samej fabryce, w tych samych nawet oddziałach przy jednakowej kategorii warsztatów robotnicy zarabiają różnie. Gdy np. jeden robotnik zarabia 15 rb. tygodniowo, inny przy podobnym warsztacie w tych samych warunkach zarabia o połowę mniej. Na to, ten sam robotnik jednego tygodnia może zarobić więcej od drugiego o $\frac{1}{3}$ mniej. Przyczyną takiego zmniejszenia się zarobków bywają przeszkody natury technicznej, mniejsza sprawność robotnika, wynikająca z różnych powodów i t. d. Na różną zaś skalę za-

robków robotników poszczególnych, pracujących przy takich samych warsztatach i w tych samych warunkach, wpływa większa lub mniejsza usilność pracy, większa lub mniejsza zdolność i wprawa jednego w stosunku do drugiego.

Warsztaty tkackie są rozmaitych typów; główne z nich są następujące: 1) lekkie — dla wązkich towarów bawełnianych i wełnianych (sukien damskich). Szerokość ich wynosi od 36 do 64 cali ang.; liczba obrotów na minutę 210—150. Jeden robotnik obsługuje dwa takie warsztaty. 2) Ciężkie t. zw. gładkie i ciężkie skrzynkowe — dla towarów ciężkich. Szerokość od 64 do 96 cali ang. Liczba obrotów na minutę 120—78.

W Łódzkiem tkactwie wełnianem ma wielkie zastosowanie ten ostatni typ. Warsztaty te czynią średnio 84 obroty na minutę, czyli na tydzień 302,400. Tkacze robią tygodniowo około 200,000 wątków, czyli 66% teoretycznego obliczenia.

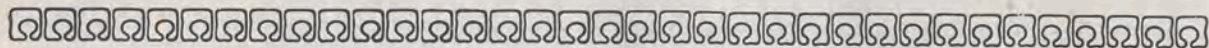
W stosunku do wydajności pracy robotnika zagranicznego i w stosunku do wymagań techniki dzisiejszej, jest to wydajność pracy niedostateczna.

Wpływa na to, jak rzekliśmy, bardzo wiele czynników. Robotnik nasz żyje w warunkach kulturalnych i społecznych znacznie gorszych, niż zagraniczny, stoi na znacznie niższym poziomie oświaty, pod względem zawodowym jest gorzej przygotowany, niż robotnik zachodnio-europejski. Gdy tam robotnicy mają mnóstwo szkół specjalnych, u nas robotnicy rekrutują się wyłącznie z żywiołów surowych.

Z tych wszystkich względów podniesienia skale zarobków robotnika polskiego jeszcze samo przez się nie decyduje o naprawie ogólnych warunków społecznych i ekonomicznych jego życia. W wielu fabrykach robotnik istotnie zarabia niedostatecznie. Ale i ci, którzy zarabiają lepiej, żyją w warunkach ciężkich, bo na każdym kroku znajdują to życie utrudnione, nie posiadają ani urządzeń społecznych, ani kulturalnych, podnoszących ogólny poziom; nie korzystają z tych wszystkich zasób kultury, z tych wszystkich praw obywatelskich, z jakich korzystać mogą robotnicy zagraniczni.


Wogóle obecne strajki łódzkie dają powód do poważnych i głębokich refleksji.

Zenon Pietkiewicz.



Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza, — **ŁÓDŹ**, Inżynierska 1.

POPULARYZACJA WIEDZY



Z postępów wiedzy i pracy.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE ZWIERZĄT.

3)

Zwierzęta planktoniczne odznaczają się przede wszystkim niewielką gęstością, zaledwie przewyższającą gęstość wody, w której żyją. Tkanki ich obfitują w wodę; pozatem wspólną i wielce charakterystyczną cechą ich tkanek jest przezroczystość. Jak to już wyżej zaznaczyłem, przezroczystość nie przynosi zwierzęciu bezpośredniego pożytku, choć dość często spotyka się mniemanie, jakoby za jej pomocą, zwierzę łatwiej może ukryć się od swych nieprzyjaciół. W rzeczywistości przezroczystość ta stanowi daremną obronę, gdyż: 1^o zwierzęta karmiące się planktonem, polykają go zupełnie przypadkowo i w wielkiej ilości, a 2^o—płciowe narządy tych przezroczystych zwierząt często bywają zabarwione na jaskrawy czerwony, pomarańczowy lub fioletowy kolor.

III.

Zwierzęta, żyjące na powierzchni morza, zmuszone są znosić najrozmaitsze zmiany czynników zewnętrznego środowiska, te zaś, które zamieszkują głębiny morskie, żyją w warunkach stałych. Na określonej głębokości stała, niska temperatura nie zmienia się wcale. Badania, dokonane w ciągu ostatnich lat gruntownie zmieniły nasze poglądy na rozchodzenie się promieni świetlnych w morskich głębinach.

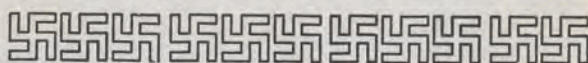
Dotychczas ogromnie był rozpowszechniony pogląd, że w miejscach, położonych poniżej 350 metrów, panuje zupełny mrok, rozpraszany niekiedy przez świecenie zwierząt fosforyzujących. Badania dokonane przez Schmidta, na okręcie „Michael-Stars“, wykazały, iż działalnie czerwonych promieni widma sięga do 500 metrów głębokości, a niebieskich i fioletowych — do 1000 metrów. Ale to jeszcze nie wszystko; ultra-fioletowe promienie sięgają jeszcze głębiej, a mianowicie, na głębokość 1700 metrów. Światło słoneczne stopniowo traci w wodzie z początku czerwone, potem fioletowe i ultra-fioletowe promienie, tak, że na głębokość 2000 metrów, te ostatnie jeszcze się przedostają.

W głębinach morskich istnieje bardzo znaczne ciśnienie, lecz równoważy się ono z ciśnie-

niem płynów wewnętrznych; prądy są bardzo słabe, a dno pokrywa cienka warstwa mułu. Pokarm jest tam wyłącznie zwierzęcy, gdyż rośliny nie mogą już wegetować poniżej 200 metrów. Prof. Joubin w swej niezwykle ciekawej książce p. t. „Życie w oceanach“, podaje następujący opis żywienia się w głębinach morskich: „Szczątki najrozmaitszych zwierząt, spadających z oświetlonej warstwy wody, łączą się ze szczątkami zwierząt, żyjących na dnie morskiem. Odnajdywanie tego łatwego łupu, tych kropel deszczu, w postaci materji, wciąż padającego z powierzchni morza, stanowi zajęcie zwierząt, źle przystosowanych do odszukiwania żywego łupu. Ale, prócz nich, są inne jeszcze, które nie poprzestając na padlinie, wolą niebezpieczeństwo walk i przesładowań żywego łupu. Są to zwierzęta, umiające doskonale pływać, opatrzone zębami i straszliwymi szczękami, wielkimi, elastycznymi żołądkami, jest to — oddział głębokowodnych, zmniejszający liczbę pokojowych pożeraczy trupów, lub małego planktonu. Niezależnie od mniej lub więcej gęstego mroku, panującego na wielkich głębokościach, żyjące tam zwierzęta, bynajmniej nie są pozbawione zabarwienia, jak to widzimy u zwierząt jaskiniowych; wprost przeciwnie, często błyszczą dziwnymi barwami — czerwonymi, fioletowymi, purpurowymi; ryby są przeważnie ciemno zabarwione, od barwy ciemno-burej do czarnej. Większość tych zwierząt posiada fosforyzujące narządy, rozproszone po całym ciele, lub zogniskowane razem, niby „prawdziwe latarnie morskie, rzucające w określonym kierunku snopy kolorowego światła“. Dość często wskazywano na pożyteczność tych narządów, niby służących zwierzęciu do oświetlenia wody i w ten sposób pomagających mu w poszukiwaniach zdobyczy. Ale takie wyjaśnienie, wydaje się zgoła problematyczne: jeśli w głębinach morskich są przestrzenie obfitujące w fosforyzujące zwierzęta, to są również i takie, wśród których zwierzęta te zupełnie się nie pojawiają; zresztą, fosforescencja nie znajduje się, bynajmniej, w jakimkolwiek związku z ciemnymi przestrzeniami morskich głębin, ponieważ narządy fosforyzujące posiada również mnóstwo zwierząt, żyjących na powierzchni morza. Oczy tych zwierząt odznaczają dziwną zmiennością: niekiedy dochodzą do niezwyklej rozmiarów, kiedyindziej znów, zdaje się, że podlegają zupełnemu zanikowi.

(d. c. n.)

S. D.



Utrzymanie samolotów w równowadze.

Pewien wynalazca francuski zbudował przyrząd, służący do utrzymania w równowadze samolotów w czasie ruchu. Wynalazek ten, jak łatwo zrozumieć, wzbudził wielkie zainteresowanie w kołach fachowych i przypuszczalnie zostanie nabyty przez francuskie ministerjum wojny.

Kinematograf do zdjęć na kliszach.

Wiadomo, do jakiego szerokiego zastosowania doszedł kinematograf ostatnimi czasy. Nie ma miasteczka, które nie posiadałoby jednego lub nawet kilku teatrów kinematograficznych. Rzadko jednak spotyka się ten rząd w domach prywatnych, co należy przypisać kosztowności przygotowania, a zatem wysokiej cenie długich błonek kinematograficznych. Starano się przeto wynaleźć aparat umożliwiający posługiwanie się zwyczajnymi kliszami, na których umieszczono jedno obok drugiego w małej skali zdjęcia kinematograficzne. Niedawno jednemu z wynalazców udało się zbudować taki kinematograf. Zasada jego działania polega na przesuwaniu obiektywu. Przytem ten sam aparat, co służył do zdjęć, nadaje się [z małymi zmianami i do rzucania obrazów na ekran.

Samoświecący metal.

Kornwalijscy wieśniacy w Anglii byli już oddawna tego zdania, że w wydobywanych w okolicy kamieniach musi się znaj-

dować samoświecący minerał, gdyż bije od nich w nocy słaby blask. Słuszność tego poglądu wykazały badania prof. Strutt'a. Uczony ten otrzymał z Portugalji próby minerału, zwanego autonitem, w celu zbadania badań nad jego zdolnością świecenia. Strutt znalazł, iż minerał jest podobny do soli uranu i że zdolność świecenia należy przypisać jego radioaktywności. Gdy jednak usunie się z minerału jego wodę krystaliczną, traci on swą zdolność świecenia. Ponieważ autonit jest znajdujący w Walji, więc prawdopodobnie świecący minerał, o którym mowa, był autonitem.

Udoskonalony gramofon.

Pewien mechanik rosyjski wpadł na myśl zamiany stalowej igły, za pomocą której gramofon wydaje dźwięki, na kulkę gumową, ślizgającą się po płycie. Podobno w ten sposób otrzymano zdumiewające rezultaty. Dźwięki instrumentów, śpiewu i mowy wychodzą z gramofonu zupełnie czyste, bez znanego odcienia brzęczącego i syczenia. Stojąc przy przyrządzie, zupełnie nie słyszy się pracy ostatniego, do tego stopnia ruch jego ma być gładki i cichy.

Droga żelazna w Maroku.

W Maroku ma być zbudowana linja kolejowa na przestrzeni od Tangeru do Fezu. Prace nad przeprowadzeniem tej linji nie napotkają na wielkie trudności techniczne. Obecnie jedyną linją kolejową w tym kraju jest wązkotorowa kolejka dla celów wojskowych. Komunika-

cja zaś z wnętrzem kraju odbywa się za pomocą karawan i w czasie niepogód musi być zawieszona, gdyż nigdzie niema odpowiednich dróg. Wehikuly wszelakiego rodzaju nie są używane poza Tangerem i Casa Blanca.

Przyrząd ochronny przy samochodach.

Warszawskie sfery techniczne są zainteresowane nowym wynalazkiem, który polega na zastosowaniu do samochodów przyrządu, umocowanego na kadłubie samochodu. Przyrząd ten przy zderzeniu się samochodu z jakąś przeszkodą wyłącza silnik i dzięki temu zapobiega dalszej katastrofie.

Platerowanie srebrem w przemyśle samochodowym.

Zakłady budowy samochodów zdradzają tendencję do wyrugowania części niklowanych przy samochodach i do zamiany ich przez posrebrzane. Nikiel bowiem posiada tę niedogodność, że pokrywa się na powietrzu warstwą tlenku, trudną do usunięcia.

Srebro ma piękniejszy biały kolor i może przyjmować lepszy połysk, który łatwo odzyskać nawet po ściemnieniu srebra.

Koszty wykonania platerowania są jednakowe dla obu metali. Ponieważ zaś bardzo cienka warstwa srebra wystarczy w tym wypadku, przeto i wyższa cena metalu nie zawąży na całkowitym koszcie samochodu.

NESTLE

Mączka mleczna jest najodpowiedniejszym pokarmem dla niemowląt oraz dla osób dorosłych chorych na żołądek i rekonwalescentów.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

25)

BOMATER.

POWIEŚĆ.

— Co złoto kochane, powie? — pytał czule porucznik, nachylając głowę.

— Ach, nie, nic... odpowiadała zażenowana kobieta i zamiast zwierzeń całowała go tak gwałtownie, że aż dzwoniło mu w uchu boleśnie.

Dziś postanowiła powiedzieć stanowczo. Dziś ma już pewność zupełną.

Wybadała właśnie, zresztą drogami najbardziej okólnymi, swoją starą, służącą, która niewątpliwie mogła zdobyć w tej mierze niejaki doświadczenie. Miała poczciwa aż czternaścioro dzieci, z których trzech synów, chłopów jak dęby, służyło w wojsku pod księciem.

Mateuszowa, krzątając się około śniadania objaśniała swojej młodej pani jako to się na świecie pełni, że oto się ludzie rodzą i umierają, kiedy w sieni stanął człowiek duży.

— Porucznik Grabowski? — spytał obcesowo.

Krystyna drgnęła.

Przybyły ubrany był po cywilnemu, ale snadno. Poznać w nim można było wojskowego.

Stał wyprostowany jak struna.

— Pan porucznik jeszcze w łóżku, tłumaczyła Mateuszowa. Niech pan pofatyguje się innym razem.

— Sprawa niecierpiąca zwłoki.

Krystyna pobiegła obudzić męża.

Po chwili stanął w progu porucznik w rannym stroju.

Przybyły oddał mu, wyjęty z zanadrza list jakiś i zwróciwszy się na pięcie wyszedł bez słowa.

Porucznik otworzył kopertę.

Księżę osobiście wzywał go do Zittau, w Saksonji gdzie nanowo organizował swoje wojska, zaliczone obecnie dekretem cesarskim jako korpus VIII Wielkiej Armji. Wypadało dla zbyt słabych kompletów stapiać razem pojedyncze pułki. Porucznik Grabowski z nominacją na kapitana przeznaczony jest do pułku dwunastego, który to pułk w wojnie rosyjskiej utracił wielu oficerów, a prawie wszystkich wyższych tak, że nad Berezyną dowodził nim kapitan Głonczyński.

Przybycie oficera jest nieodzowne. Ma on możliwie najkrótszemi drogami przebierać się do Saksonji, ażeby przed początkiem lipca mógł objąć powierzoną sobie komendę.

Dał żonie list do przeczytania.

Wzięła drżącemi rękami. Litery skakały jej przed oczami. Opanowała się jednak i przeczytała pismo do końca.

Rzucił na nią pytające wejrzenie.

— Jedź — rzekła po chwili z największym wysiłkiem.

Ale w tej chwili niezwykła bladość twarzy jej pokryła, zachwiała się na nogach i byłaby padła na ziemię, gdyby porucznik nie chwycił ją w ramiona.

Dźwignął omdlałą i zaniósł na łożo.

— Doktora! — krzyknął w rozpacz na Mateuszową! Na miłość boską doktora, jak najprędzej! Zasiała, zachorowała moja najdroższa! — wołał, odchodząc od przytomności.

Mateuszowa jednak zamiast biedz po doktora, przyniosła z kuchni octu i zaczęła cudzić omdlałą a porucznika uspakajała, jak umiała, najwymowniej...

— O, niech się pan porucznik tak znowu nie stracha. Nie pani naszej nie będzie. Zwykła to rzecz. Już to kobiecie w tym stanie różne się przypadłości wydarzyć mogą...

— W jakim stanie?

— A to pan porucznik niby nic nie zauważył, że to pani nasza nieledwie od dni sześciu... a może więcej... a może więcej... To pani, panu nie rzekła?.. No... no...

Porucznik zrozumiał. Uczucie radości zalało mu serce. Rzucił się na omdlałą i pokrywał pocałunkami jej twarz, ręce, nogi.

Otworzyła oczy.

Po południu, około trzeciej, porucznik przebrany po cywilnemu, niby turysta, wybierający się w podróż dla przyjemności, siadał do koczka, zaprzęzonego w parę tęgich, gniadych wałachów.

W oknie stała Krystyna biała, jak chusta, którą przykładła do oczu...

d. c. n.)



MARJAN ORLICZ.

6)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Właściwie nie mi się nie stało, a jednak czuję, że w takim nastroju ducha, ludzie chyba popełniają samobójstwo. Sądzę że mię pobyt w kraju wyleczy.

Milsz machnął ręką.

— Śmieję się pan z tego. Jeśli jest coś co może wyleczyć z melancholji, to chyba jedynie Paryż.

Paryż! ze swemi bibliotekami, muzeami, z cudowną perspektywą swych placów i ulic, z tem wszystkim, co nam daje na każdym kroku, a nawet Paryż ze swemi natłoczonymi kawiarniami! Przepadam za tem. Ażeby to stwierdzić rzeczowo, wie pan co? chodźmy do którejs razem, urządzimy sobie poźegnalną bibkę.

— Przepraszam, ale umówiłem się z kolegami u Pascala.

— Ano, to chodźmy do Pascala.

— Z panią?

— Oho, to już przedsmak warszawskiego „nie wypada”, ależ naturalnie, że z żoną. Pójdziesz z nami, Anno?

— Najchętniej, znam tyle knajp, a nie znam Pascala, a bardzom go ciekawa.

— Widzi pan jaką to one mają niezdrową ciekawość.

— Powiedz raczej niezaspokojoną. Was przecież, moi panowie, już chyba nic zaciekawić nie może.

Żarski roześmiał się wesoło.

— Gotówem na pożegnanie być świadkiem sceny małżeńskiej.

— Tem lepiej, na dłużej się panu upamiętnimy.

Tualeta pani Amelji nie trwała długo i poszli.

Na rogu bulwaru St. Germain, jakiś młody człowiek i bardzo młoda dziewczyna całowali się zapamiętale.

O parę kroków dalej dwa cienie splecione w uścisku, szeptały sobie słowa obietnic.

Jakaś dziewczyna, zmęczona bezowocnymi „cent pas” po trotuarze, przyczepiła się do Żarskiego, który pozostał na chwilkę w tyle. Milsz był w siódmym niebie: Eviwa Paryż! — wykrzyknął.

— I to cię nawet zachwyca?

— I to, i wszystko, które jego jest!

Kawiarnia była tak zapchana, że patrzącemu z góry, to morze głów dałoby wrażenie jakiejś jednej zbitej, falującej masy.

Tropikalny upał, przepojone dymem z cygar i papierosów powietrze, zakażone wyziewem kiepskich perfum, rozgrzanych ciał kobiecych, zgęszczone w nieokreślonego rodzaju amalgamat, już u samego wejścia uderzało do głowy.

Pod ścianami na ławkach, goście gnietli się tak gęsto, iż zdawało się, że siedzą jedni na drugich.

Szmer głosów, szelest poruszanych papierowych wachlarzyków — wszystko to, zalane potokami elektrycznego światła, robiło odurzające wrażenie rzeczy niemiłej a ciekawej.

Lawirowali z trudnością zanim po długim rozglądaniu dotarli nareszcie do stolika, przy którym siedzieli: zieleńszy jeszcze

niż zwykle Kryński, Jakajtys, Skrzecki i Orliński.

Malarze zerwali się na powitanie.

Kryński złożył ironicznie głęboki ukłon i zwrócił się do Milsza:

— Jak to znać zaraz umysł wyższy, wolny od przesądów. Zjawienie się pani, to jakby świeży powiew w tej zatęchłej atmosferze!

Żarski rzucił mu niezadowolone spojrzenie. Był w tych dniach niezwykle wojowniczo usposobiony.

— Wy, jak zazwyczaj chcieliście strzyknąć żółcią, a powiedzieliście wielką prawdę.

— A wy, jak zazwyczaj, chcieliście apostołować, ale ze mną takie rzeczy nie idą.

— Nie wiem co tam z wami idzie albo nie idzie, ale to wiem, że państwo przyszli ze mną i dla mnie, więc...

Zaczęło się zanosić na przykrą scenę, kiedy się wtrącił Jakajtys ze swą „Bogu ducha winną” miną.

— Ja myślał, że Kryński tylko mnie się czepia, a widzę, że i drugich, ta i rad jezdem.

Pani Amelja zanosła się od śmiechu.

— To taki z pana życzliwy.

Jakajtys stracił zupełnie kontenans, a tymczasem Kryński ogólnym ukłonem pożegnał towarzystwo.

Nikt nie myślał go zatrzymywać.

— Patrzenie państwo, jakie to zabawne, mówiła pani Amelja, spoglądając ukradkiem na oboczny stolik, przy którym dziewczyna mocno wydekoltowana w olbrzymim Gainsborough'u usiłowała wyrwać z palców swego partnera franka, a on go bronił energicznie.

— Ależ to prawdziwe dobrodziejstwo w tym upale, — powiedziała, biorąc jeden z umieszczonych po stołach wachlarzyków i chłodząc się nim zawzięcie.

— A to możebyśmy poszli?

— Ani myślę.

Rozweselonemi oczami rozglądała się na wszystkie strony.

Tuż obok, na rudo zrobiona nie pierwszej już młodości kobieta, suchotniczo chudej rękami w krótkich rękawach, trzyma za szyję swego towarzysza, jakby w obawie, żeby jej nie uciekł.

W lustrze odbija się inna, dłońmi spleciona para.

Na przeciwko, obok, wokoło, wszędzie powtarza się to samo.

Jakiś miłosny opar idzie po całej sali od tych par, obcych sobie prawdopodobnie przed chwilą, a które, rozszedłszy się, na nowo znać się nie będą.

Na estradzie tymczasem, w jakiejś jakby wyższej, w cieniu sztucznych palm, czterech grajków z grubym jak antałek piwoszem na czele, fałszuje rozpaczliwie zakazane jakieś walce i polki.

V.

Żarski gorączkowo przygotowywał się do wyjazdu. Cekał tylko pieniędzy za obrazy.

Obowiązkowe wizyty męczyły go i nudziły, a z drugiej strony samotność stawała się niemożliwa.

Miał „Reisefieber” w całym tego słowa znaczeniu. W dodatku ten nieład w pracowni, te ściany odarte, te szkielety nagich stalug, te paki na środku martwe, dające mu wrażenie katafalku z którego tylko co wyniesiono nieboszczyka...

Jeśliby miesiąc temu, ktoś był powiedział, że opuści Paryż, w nosby mu się rozeźmiał. Nie umiałby nawet odpowiedzieć, gdyby go kto zapytał, za sprawą czego klawisz, który dotąd milczał, odezwał się naraż.

Do drzwi zapukano i listonosz wręczył mu liścik.

„Czy to prawda, że pan opuszcza Paryż?”, pisała swym wytwornym charakterem pani Marta. „Przecież pan chyba nie zapomni pożegnać przyjaciół. Jestem jeszcze w Forgerus. Droga do nas niedaleka, jak Pan wie. Przyjeźdź pan we środę zaraz po śniadaniu, będzie kilku naszych dobrych wspólnych znajomych”.

O! do niej pójdzie z przyjemnością. Ona woim subtelnym, „szóstym zmysłem” zrozumie stan jego duszy.

Z „Gare Montparnasse” potrzeba dobrych dwóch godzin koleją do ustronia, gdzie pani Marta corocznie się chroniła przed skwarem lata i tumultem miasta.

Wagon był zapchany przeważnie robotą klasą.

Dusznym nie do zniesienia, gdzie się obrócić obmierzły wyziew czosnku; a ponieważ wszystko w ostatnim czasie działało

mu na nerwy, więc siedział jak na szpilkach. Dopiero od Versaille zrobiło się luźniej. Przynajął się do okienka i patrzył w przemykającą się płaską okolicę.

W szczerym polu grusza samotnica kłania mu się przyjaźnie. Tuż ściele się szmat rudej ścieżni.

Naniesiona, nie wiadomo skąd, przybłęda-osika, drży lękliwie.

„Zupełnie jak nasz pejzaż, pomyślał tęsknie i wnet, uczuł dobrze znane tętnienie serca.

Odetchnął z ulgą, kiedy przyszło wyśiadać.

Przez nędzną budę stacyjną przeszedł na drugą stronę plantu.

Po całej drodze ze stacji do wsi nie spotkał żywej duszy.

Zabiegał mu drogę tylko wonny wiaterek, co, jak wytresowana psina pokojowa, to warował, to mknął przed nim żwawo, aportując kupki zeschniętego liścia i ziela. Szedł wolno.

W zamyśleniu przypatrywał się tej igraszce wiatru, tym świetlnym płatom złota, które na żwirze, pomiędzy dwiema ścianami lasu, słońce kładło mu pod nogi.

A las buchał woniami jak kadzielnica, skrzył się jak monstrancja.

Pod jesień przymilkły ptaki, a rozspiewały się barwy.

W błękitcie i złocie powietrza taka była cisza, że słycać było brzęk wirujących w przestrzeni muszek.

Naraz z pod nóg mu się wyrwał bażant i, do miedzianej kuli podobny, ciężkim lotem wzblił się w górę.

Ani się spostrzegł, kiedy stanął przed zieloną furtką dziedzińczyka.

Pani Marta była sama w swoim miłym ogródku.

Wzorzysty dywan lewkonji, astrów, gwoździków w ciepłe słonecznem wydychał słodką woń.

(d. c. n.)



H. DE BALZAC.

3)

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Młodzieniec ów był blady i szczupły, napozór słaby, lecz mimo to dbały o honor i odwagi, jak tego dowodziły liczne pojedynki, odbyte z najnieznacniejszych powodów. Choć nie brał udziału w żadnej bitwie, jednak posiadał już krzyż legji honorowej. Był to więc, jak widziacie, jeden z chodzących grzechów Restauracji, zresztą — najniewinniejszych.

Młodzież okresu owego nie należała w gruncie rzeczy do żadnej epoki, gdyż żyła w przerwie między dwiema epokami: starą, pełną świetnych wspomnień Cesarstwa, tradycji arystokratycznych i dworskich, a nową, opanowywaną przez pracowitą burżuazję, dzielącą swój czas między praktyki religijne a bale kostjumowe, swe sympatje — między dwiema postaciami: Ludwika XVIII-go, który widział tylko teraźniejszość i Karola X-go, który zbyt dobrze widział przyszłość. Młodzież ta powolna była woli królewskiej, więc też wraz z królem brnęła w ciągłe błędy a choć, mimo pozornej ślepoty, nie zbywało jej na dużej przenikliwości, jednak starcy nie liczyli się z nią zupełnie i zazdrośnie trzymając w swych drżących dłoniach ster nawy państwowej, odsuwali od władzy młodzież. Tymczasem monarchję ocalić mogła jedynie ta właśnie młodzież, z której tak naśmiewają się jeszcze dziś starzy doktrynerzy, muzealne zabytki z okresu Restauracji. August de Maulineour należał właśnie do liczby ofiar tej nieufności, którą darzono młodzież ówczesną. Dwa odmienne wpływy kształtowały jego duszę: wpływ matki i starego wicehrabiego. Wicehrabia w 67-ym roku życia był jeszcze pełen werwy; wiele przeżył on i wiele widział w swoim życiu, umiał z humorem opowiadać swe przygody, był człowiekiem wytwornym, światowym. Lecz na kobiety miał pogląd okropny: kochał je, ale pogardzał niemi. Ich honor? Ich uczucia? Starzec śmiał się, gdy w jego obecności wymawiano podobne słowa. Wprawdzie wobec kobiet udawał, że wierzy w nie, nie przekomarzał się z niemi nigdy i odgrywał przed niemi komedję szacunku. Ale w swoim gronie, gdy była mowa o kobietach, przekładał, iż oszukiwanie kobiet i prowadzenie wielu intryg miłosnych naraz powinno było stanowić jedyne zajęcie młodych ludzi, dla których każde inne zajęcie było zdaniem jego poprostu marnowaniem czasu.

Przykrem jest dla nas, że musimy szkicować portret tak pospolicity. Bo gdzie go niema? Czy nie jest tak oklepany, jak portret grenadjera napoleońskiego? Lecz wicehrabia posiadał wielki wpływ na losy młodego Augusta, więc poświęcamy mu tu nieco miejsca. Nawracał go on na swoją wiarę, chcąc zaszcześcić mu swawolne obyczaje dawnych czasów. Z drugiej

strony stara babka, wierząca w wice-hrabiego, jak w Boga, była jednak kobietą nader enotliwą, wzorem łagodności i słodyczy, a przytem posiadała wiele wytworności i poezji. Chciała ona zachować w sercu wnuka wszystkie piękne złudzenia, więc wychowywała go w najwznioślejszych zasadach, przekazała mu swą czułość i skromność, które w młodym człowieku dochodziły niemal do śmieszności. Jego czystość i drażliwość nie zbrukała się w zetknięciu z światem i pozostał tak skromny, tak niewinny, że raziły go czyny i zasady, które świat ówczesny tolerował najzupełniej. Wstydząc się swej czułości, młodzieniec starał się ukryć ją pod pozorami udanej pewności siebie i sztychował wraz z innymi ze wszystkich świętości, choć w głębi serca cierpiał nad brukaniem ideałów, które czcił pokryjomu. Toteż w zaraniu życia zaznał srogiego zawodu, gdyż kapryśny los sprawił, że pierwsza kobieta, ku której skierował, swe zapaly, swe uczucie pełne subtelności i melancholji, okazała się zapaloną przeciwniczką sentymentalizmu niemieckiego. Pod wpływem tego zawodu, młodzieniec zwątpił o sobie, stał się marzycielem, pograżył się w swych smutkach, skarżąc się, iż jest niezrozumiany. Potem ulegając prawu, według którego tembardziej pożądamy czegoś, im trudniej nam jest to otrzymać, nie przestał ubóstwiać kobiet tem pełnem naiwnej czułości i kocięj subtelności uczuciem, które posiadają właśnie kobiety, lecz którego nie znoszą w mężczyźnie, gdyż chciałyby posiadać je na wyłączną własność. W istocie, aczkolwiek kobiety wiecznie uskarżają się, iż są niedostatecznie kochane przez mężczyzn, jednak bynajmniej nie gustują w mężczyznach, obdarzonych duszą napół kobiecą. Cała ich wyższość polega na tem, że wmawiają w mężczyzn, iż ci nie dorównują im w potężde miłości; więc też bez żalu porzucają kochankę, nie dostarczającego im tych obaw, które one tak lubią, tych rozkosznych chwil udanej zazdrości, wzruszeń zawiedzionej nadziei, próżnych oczekiwań, jednym słowem całej gamy małostkowych niedoli kobiecych. Cóż może być bardziej przeciwnego ich naturze, niż spokojna i ufna miłość? Pragną one wzruszeń, i szczęście bez burzy nie jest w ich oczach prawdziwym szczęściem. Dusze kobiece, dość potężne by w miłości swej zawrzeć nieskończoność, stanowią anielskie wyjątki i są wśród kobiet tem, czem są najpotężniejsi genjusze wśród mężczyzn. Wielkie namiętności są równie rzadkie, jak arcydzieła. A po za tem wielką miłością istnieją jedynie dreszcze, przelotne wzruszenia, godne lekceważenia, jak wszystko co małe.

Wśród tajnych zawodów sercowych, w trakcie poszukiwania kobiety, która mogła by go pojąć, poszukiwania, stanowiącego — zauważymy w nawiasach—obłęd kochanków epoki dzisiejszej, August napatkał w sferze dość odległej od jego sfery, wśród finansjery, której czołową warstwę stanowią wielcy bankierzy, kobietę doskonałą, jedną z tych, które mają w sobie jakąś świętość i budzą tak wielki szacunek, że miłość, nim się przejawia, wymaga długiej zażyłości. August pograżył się całą duszą w rozkoszach tej wzru-

szającej i głębokiej miłości, miłości nawskroś platonicznej. Słumil w sobie niskie żądze, owładnięty całkowicie uczuciem dziewiczem, czystem, pełnem niejasnych, przelotnych wrażeń, tak subtelnych, że można porównać je tylko z delikatnymi zapachami, złotymi obłoczkami, promieniami porannego słońca, ulotnymi cieniami, ze wszystkim, co w naturze błyszczy, by za chwilę zgasnąć, ożywia się, by natychmiast zamrzeć, pozostawiając w sercu długotrwałą tęsknotę. W okresie, gdy dusza jest jeszcze dość młoda, by wyczuwać mocno melancholję, by roić i marzyć, by znajdować w kobiecie więcej niż kobietę, w tym okresie niema dla mężczyzny większego szczęścia, niż kochać, odczuwać niewysłowioną radość z powodu dotknięcia białej rękawiczki, musnięcia włosów, usłyszenia paru słów, rzucenia spojrzenia. Najpełniejsze i najtrwalsze posiadanie ukochanej kobiety nie może dostarczyć tylu rozkoszy. Toteż tylko ludzie odrzuceni, nieszczęśliwi, niepozorni, kochankowie skryci, mężczyźni i kobiety nieśmiałe, znają skarby, które zawiera głos istoty kochanej. Drgnienia ogniowego tchu, biorące swe źródło z duszy, tak gwałtownie poruszają serca, tak mocno łączą je, tak jasno wyrażają myśli, są tak szczere, że każda zmiana w intonacji mówi więcej, niż najpiękniejsze okresy retoryczne. Jakiż zachwyt budzi w sercu poety czar słodkiego głosu! ile myśli budzi! jaką słodycz rozlewał! Miłość zawiera się w głosie, nim jeszcze przejawia się w spojrzeniu. August, poeta w miłości (istnieją bowiem poeci, którzy czują i poeci, którzy wyrażają uczucia, przytem pierwsi należą do gatunku stokroć szczęśliwszego) zaznał wszystkich tych płodnych i potężnych radości. *Ona* posiadała głos srebrny, który tak słodko dźwięczy dla ucha, tak donośnym echem odzywa się w sercu, tak wzrusza je, tak pieści, tak wzburza. I ta kobieta chodziła wieczorem na ulicę Soly, na róg ulicy Pagerin; i jej niespodziane pojawienie się w obmierzłym domu złamało najwznioślejsze uczucie! Logika starego wicehrabiego świeciła tryumf nielada.

— Jeśli ona zdradza męża, pomścimy się — szepnął August.

W tem *jeśli* tkwiła jeszcze miłość... Filozoficzna wątpliwość Descartesa jest hołdem złożonym na ołtarzu zawiedzionej ufności. Wybiła dziesiąta. W tej chwili baron de Maulincour przypomniał sobie, że kobieta ta powinna była znajdować się na balu w domu, w którym był. Natychmiast ubrał się, wyszedł, po chwili był już w salonie i szukał jej. Pani Nucingen, widząc go tak rozgorączkowanym, rzekła:

— Szuka pan pani Juljuszowej? Jeszcze nie przyszła.

— Dzień dobry, moja kochana, — rozległ się głos.

August i pani Nucingen odwrócili się. Pani Juljuszowa weszła na salę przybrana w białą suknię, pełna prostoty i wdzięku. Głowie jej przysuszały te same kwiaty, które wybierała w sklepie przy ulicy Richelieu, przed paru godzinami.

Głos jej przeszył, jak grot, serce Augusta. Ach, gdyby posiadał prawo być zazdrosnym o te

kobietę, zmiażdżyłby ją jednym: „ulica Soly!“
Lecz on, człowiek obcy dla niej, mógł być pow-
tórzyć stokroć do ucha pięknej kobiety to słowo,
a ona poprostu spytałaby go ze zdziwieniem, co
to ma oznaczać. Więc spojrział na nią mętym
wzrokiem.

Dla ludzi złośliwych, drwiących ze wszyst-
kiego, jest rzeczą bardzo przyjemną znać tajem-
nicę kobiety, wiedzieć, że jej pozorna enotliwość
kłamie, że jej spokojna twarz kryje przewrotną
myśl, że pod czystym czołem czai się jakiś strasz-
liwy dramat. Istnieją jednak dusze subtelne, dla
których podobna świadomość jest bezbrzeżnie
smutna, a i wiele z tych, którzy drwią, gdy zo-
staną sam na sam ze swem sumieniem, przekli-
niają świat i pogardzają taką kobietą. W tem
położeniu znajdował się właśnie August wobec
pani Juljuszowej. Dziwne położenie! Wszak sto-
sunek ich ograniczał się do paru słów, zamienio-
nych siedm lub ośm razy do roku, a przecież ża-
dał od niej porachunku za swe złamane szczę-
ście, o którym ona nie wiedziała, a przecie
sądził ją, choć nie miał nawet prawa wygłosić
oskarżenia.

Często zdarza się młodym ludziom znajdo-
wać się w tem położeniu: toną w rozpacz
z powodu zerwania z kobietą, którą ubóstwiali
pokryjomu, którą teraz pokryjomu pogardzają,
którą potępiają. I wygłaszają przemowy wobec
czterech ścian swego samotnego pokoiku; w du-
szach ich huczą i cichną burze, które ukrywać
muszą w głębi serca; i rozgrywają się wspania-
łe sceny, godne najświetniejszego pióra. Pani
Juljuszowa usiadła na kanapie. Ale czuła się
jakoś nieswojo i z ukosa rzucała spojrzenia na
swego męża Juljusza Desmarets, agenta giełdo-
wego banku Nucingena. Oto dzieje tego małżeń-
stwa:

Pan Desmarets na pięć lat przed ożenkiem
służył w biurze maklera giełdowego i nie po-
siadał nic, prócz swej skromnej pensyjki. Lecz
należał do tych ludzi, których niedola szybko
nauczyła wielu rzeczy i którzy trzymają się wy-
tkniętej drogi z uporem robaka, spieszącego do
swej dziupli; był to jeden z tych młodych ludzi,
których nie zniechęca żadna przeszkoda. Czekał
cierpliwie. Natura obdarzyła go cennym darem:
sympatyczną powierzchownością. Jego spokojne
i czyste czoło, układ łagodnej, lecz wyrazistej
twarzy, pełne prostoty manjery,—wszystko w nim
mówiło o pracowitości i uczciwości, tej godności
osobistej, która budzi szacunek, szlachetności,
która imponuje. Żył w Paryżu samotnie i widy-
wał ludzi nader rzadko, przeważnie w salonie
swego zwierzchnika. Namietności jego posiadały
zdumiewającą głębię i siłę; skromne środki zmu-
szały go do wstrzemięźliwości, więc trzymał na
wodzy swe zachcianki i oddawał się całkowicie
pracy. Zmęczony się nad cyframi, szukał wyt-
chnienia, kształcąc się i nabywając tę sumę wie-
dzy, która niezbędną jest do powodzenia w ży-
ciu, w salonie, w handlu, polityce, lub literatu-
rze. Jedyłą przeszkodą dla takich pięknych dusz
jest ich szlachetność. Jeśli spotkają biedne dziew-
czę, natychmiast budzi się w nich uczucie, że-
nią się i potem szarpią między biedą a miłością.

Największe ambicje giną w księdze wydatków
domowych. Juljusz Desmarets potknął się też
o taką przeszkodę. Pewnego dnia spotkał on
u swego szefa istotę przedziwnej urody. Niesz-
częśliwi samotnicy, nie mający na świecie ani jed-
nej przychylniej duszy, zaprzęgnięci pracą w ok-
resie uroczej młodości, znają dobrze nieprzepar-
tą siłę namietności, gdy ta zawita do ich serca,
że miłość daje im natychmiast pełnię szczęścia,
choć oni częstokroć nie potrafią dostarczyć uko-
chanej mocnych wrażeń. Bo nie wszystkie ko-
biety umieją ocenić w dostaczej mierze potęgę
uczucia, które w ludziach tego pokroju jest wsty-
dliwe i wymaga czasu, nim, oswoiwszy się, prze-
jawia się wyraźnie nazewnątrz. Samotnicy, żyją-
cy jak anachoreci wśród rozpusty Paryża doś-
wiadczały wszystkich rozkoszy i wszystkich po-
kus, napastujących pustelników. Często też ule-
gają ostatecznie pokusom. Jeszcze zaś częściej
są oszukiwani, zdradzani, niezrozumiani; rzadko
udaje im się zeznać słodkich owoców miłości,
która jest w ich oczach kwiatem, rzuconym z wy-
żyn przez istoty niebiańskie. Jeden uśmiech żony,
lekkie drżenie jej głosu wystarczało, by zrodzić
w sercu Juljusza Desmarets bezgraniczne uczu-
cie. Na szczęście napotkał w swej wybrance is-
totę, obdarzoną subtelnością uczuć, zdolną pojąć
go i ocenić. Więc pokochali się szalenie. Młoda
panna znajdowała się w położeniu wysoce opla-
kanem; należała ona do licznych rodzaju nie-
szczęśliwych ofiar egoizmu męskiego: pochodziła
z niewiadomych rodziców. Majątek jej wynosił
bardzo niewiele. Juljusz Desmarets dowiedziaw-
szy się o tem jej nieszczęściu, poczuł się naj-
szczęśliwszym człowiekiem w świecie. Gdyby
bowiem Klementyna (tak zwała się jego ukocha-
na) należała do jakiejś bogatej rodziny—musiał-
by być wyrzec się nadziei pojęcia jej za żonę;
ale była biednym dzieckiem miłości, owocem nie-
pobłogosławionej przez prawo namietności. I oto
pobrali się. Od tej chwili rozpoczęła się w ży-
ciu Juljusza Desmarets serja udanych dni. Poczęto
zazdrościć mu i zazdrośni, zapominając o jego
enotach i wytrwałości, przypisywali powodzenie
jego zrzadzeniom ślepej fortuny. W kilka dni po
ślubie córki, matka Klementyny, odgrywająca
rolę jej matki chrzestnej, doradzała Juljuszowi
Desmarets kupno urzędu maklera giełdowego¹⁾,
przyczekając dostarczyć mu niezbędnych fundu-
szów. W czasie owym urzędy kosztowały jeszcze nie-
zbyt drogo. Wieczorem, w salonie maklera gieł-
dowego—swego dotychczasowego szefa, pewien
bogaty kapitalista, na wskutek wstawiennictwa
owej damy zaproponował Juljuszowi bardzo do-
godny układ, dostarczył mu obficie potrzebnych
funduszy i nazajutrz szczęśliwy oblubieniec od-
kupił od swego szefa urząd maklera giełdowego.
W ciągu czterech lat Juljusz Desmarets stał się

¹⁾ Maklerzy giełdowi (agents de change) stano-
wią we Francji potężną korporację, złożoną z ok-
reślonej liczby członków. Potęga korporacji płynie
stąd, że jest ona solidarnie odpowiedzialna za swych
członków. Aby nie powiększyć liczby tych ostatnich,
korporacja zezwala tylko na nabywanie urzędu po
ustępujących członkach; nowych udziałowców nie
przyjmuje.

jednym z najbogatszych członków korporacji, nowi a bogaci klienci powiększyli liczbę, przekazaną mu przez poprzednika. Interesa napływały doń w sposób tak dziwny, że zmuszony był uznać czuwającą nad nim jakąś tajemniczą opiekę, którą przypisywał Opatrzności. Na trzeci rok zmarła matka Klementyny. W tym czasie pan Juljusz, zwany tak ogólnie dla odróżnienia od starszego brata, którego zrobił rejentem, posiadał około dwustu tysięcy franków renty rocznej. Nie było chyba w Paryżu drugiego przykładu tak szczęśliwego małżeństwa. W ciągu lat pięciu raz tylko zmąciło ich miłość oszczerstwo, za które Juljusz srogo się pomścił. Jeden z jego dawnych towarzyszków przypisywał zasługę wzbogacenia męża pani Juljuszowej, która jakoby w specjalny sposób opłacała się komuś za okazywaną mężowi protekcję. Oszczerca został zabity w pojedynku.

(d. n. c.)



MIGUEL DE CERVANTES SAavedra.

6)

Rinconete i Cortadillo.

Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław Miłner.

Na to, ozwała się staruszka, która zmówiła była modlitwę przed obrazem:

— Monipodio, synu miły, nie do uczt mi teraz, gdyż od dwóch dni cierpię na takie zawroty głowy, że do szaleństwa mię doprowadzają, a prócz tego zanim nadejdzie południe, muszę zmówić pacierze i zapalić świeczkę przed Najświętszą Panią i przed krucyfiksem św. Augustyna, bo tego obowiązku nie zaniedbam, choćby spadły śniegi i wichry się rozhulały. Przyszłam tu dzisiaj, gdy Renegat i Centopier przynieśli mi wczoraj wieczorem koszyk do butelek, większy nieco od tego, który tutaj stoi, pełny nowiutkiej bielizny. Bogiem a prawdą, chłopcy nie zdążyli nawet usunąć resztek popiołu, który służył do prania, przyszli pokryci potem kroplistym i aż litość brała patrzeć na nich, tak byli zziązani i zadyszani, biedni aniołkowie. Powiedzieli mi, że poszli śladem jakiegoś handlarza bydłem, który sprzedawał był w rzeźni kilka cieląt i zamierzali właśnie przekonać się czy nie zdofają zanurzyć ręki w sakwę pełną reali, którą miał przy sobie, gdy nadarzyła im się inna okazja. Nie wyłożyli bielizny, ani jej nie policzyli, ufnie w moją uczciwość i klęknęli na Boga, że nie tknęłam nic z owego kosza, i że stoi teraz u mnie taki, jakim był, kiedy na światło dzienne się narodził.

— Wierzymy ci, pani matko, — odparł Monipodio, — niech sobie kosz stoi u ciebie a pod

wieczór pojdę sprawdzić jego zawartość, wszystko porachuję i dam każdemu, co mu przypadnie w udziale, rzetelnie a sprawiedliwie, jak to jest moim zwyczajem.

— Niech będzie jak zechcesz, synu, — rzekła staruszka, — a że czas zaczyna mi się dłużyć, dajcie mi przelknąć co macie, aby pocieszyć ten strapiiony żołądek, który wciąż mi omdlewa.

— A czegoś chciałabys się napić, matko miła? — zapytała Escalanta, gdyż tak się nazywała towarzyszka Gananciosy.

To mówiąc, otworzyła kosz i ukazał się miech skórzany, który zawierał koło dwóch arrobów *) wina i wiadro z drzewa korkowego, w którym z łatwością pomieścić się mogły dwie kwarty. Escalanta, napełniwszy wiadro winem, podała je bogobojnej staruszce, która wzięła naczynie w obie ręce, zdmuchnęła pianę zwierchu i rzekła:

— Dużo nalałaś, córko, lecz jeśli Bóg tak skaw, starczy mi sił i na to.

I podniósłszy wiadro do ust, jednym tchem, przelała zeń wino do żołądka, poczem dodała.

— Pańskie winko, z Guadalcanalu rodem i nawet jeszcze lekkiego smaczku gipsu nie straciło. Bóg ci zapłać, córko miła, takżeś mi dała pocieszenie. Boję się tylko, by mi nie zaszkodziło, gdyż nie jadłam dziś śniadania.

— Nie zaszkodzi, matko, — odparł Monipodio, — bo wino jest stare, trzyletnie.

— Tak mi Panno Najświętsza dopomóż, — rzekła staruszka i dodała, zwracając się do dziewczyn:

— A poszukajcie, czy nie macie tak jakiego ćwiertaka, abym mogła kupić świeczek na ołtarz, bo tak spieszno mi było do was z nowiną o koszu, żem zapomniała z domu torebki z pieniędzmi.

— Mam ja trochę drobnych, matko Pipoto, (tak nazywała się owa zacna staruszka) — rzekła Gananciosa, — proszę, oto dwa ćwiertaki; za jednego dla mnie kupcie świeczkę i zapalcie ją przed ołtarzem św. Michała, a jeśli na dwie starczy, niech druga będzie dla św. Błażeja, gdyż ci są moi obrońcy. Chciałabym też świeczkę dla św. Łucji, bo i do niej się modłę, ze względu na ową przeprawę z oczyma, ale nie mam już drobnych, przyjdzie jednak czas, że starczy nam na wszystko.

— Dobrze mówisz, córko, a dbaj zawsze o to, by ci nie zbrakło zapasu, rzecz to bowiem wielkiej wagi, aby człowiek umierając, miał przy sobie gromnicę zapaloną, a nie czekał aż mu ją przyniosą spadkobiercy, lub egzekutorzy testamentu.

— Prawdę mówi matka Pipota, — ozwała się Escalanta i sięgnawszy do woreczka, dała staruszce jednego jeszcze ćwiertaka, prosząc aby zapaliła i za nią dwie świeczki ku czci świętych, którzy wydadzą się jej najbardziej użyteczni i godni wdzięczności.

Pipota zagarnęła miedziaki i skierowała się ku wyjściu, mówiąc na odchodnym:

*) 30 litrów.

— Bawcie się, dzieci, póki czas jeszcze po temu, bo nadejdzie starość i płakać będziecie chwil straconych waszej młodości, jak ja dzisiaj płacząc moich młodych lat. W waszych modlitwach polecajcie mię Bogu a i ja o was nie zapomnę, prosić Go będę, by nas ochraniał w naszym niebezpiecznym rzemiośle, by strzegł nas zawsze od najścia władz sądowych i aklarzji.

To rzekła i odeszła.

Gdy za staruszką drzwi się zamknęły, wszyscy usadowili się w koło maty, a Gananciosa, w braku obrusa, pokryła ją prześcieradłem. Następnie wyjęła z koszyka najspierw wielką wiązkę rzep i koło dwóch tuzinów pomarańcz i cytryn, później spore pudło smarzonego sztokfisu pokrajanego w plasterki; ukazało się potem pół sera holenderskiego i cały garnek doskonałych oliwek, półmisek homarów i krabów z sosem kaparowym i pieprzem tureckim, wreszcie dwa bochenki przedniego chleba białego z okolic Gandulu. Biesiadników było koło czterestu, a żaden z nich nieomieszkał położyć przed sobą noża o żółtym trzonku, prócz jednego Rinconeta który wyjął swą złamaną szpadę. Starcom w bajowej odzieży i przewodnikom naszych dwóch chłopców przypadł w udziale obowiązek nalewania wina do wiadra, z którego każdy pił kolejno. Lecz ledwo zabrano się do pomarańcz, gwałtowne pukanie do drzwi rzuciło poploch na całe towarzystwo. Monipodio polecił wszystkim, by się uspokoili, wszedł do izby, zdjął ze ściany tarczę, dobył szpady i zbliżywszy się do drzwi, głuchym i przeraźliwym głosem zapytał:

— Kto idzie?

Odpowiedziano mu z zewnątrz:

— To ja, czyli, że jakby nikogo nie było, Mości Monipodio. To ja, Tagarote, który stoję dziś na straży, a przychodzę powiedzieć, że idzie tu Julja Cariharta, w tak wielkiej rozpacz i tak zaplakana, że jakieś nieszczęście musiało jej się wydarzyć.

W tej samej chwili tu, o której mówił, nadeszła szlochając, a Monipodio usłyszawszy ją, utworzył drzwi i polecił sztyldwachowi, by wrócił na swój posterunek, a na przyszłość z mniejszym hałasem dawał znać o tem, co dostrzeże. Tagarote oddalił się, przyrzekając poprawę.

Weszła Cariharta, dziewczyna tego samego rodzaju co dwie poprzednio przybyłe. Była cała rozczochrana, twarz miała pełną sińców i ledwo ukazała się na dziedzińcu, padła zemdlona. Gananciosa i Escalanta rzuciły się jej z pomocą

i rozpinając ją dostrzegły, że całą pierś miała jakgdyby poranioną. Obłeli jej twarz wodą, tak, że wkrótce odzyskała przytomność i wnet wołać zaczęła:

— Oby sprawiedliwość Boża i sady królewskie nie minęły tego rzezimieszka, skórozdziercę, tego tchórza poczwarowego, tego wszawego rozbójnika, który ma więcej grzechów na sumieniu niż włosów na głowie! A ileż to razy uratowałam go od szubienicy! I pomyśleć, że zmarnowałam moją młodość, że kwiat moich lat oddałam dla takiego pyszałka bez serca, podłego i niepoprawnego.

— Uspokój się, Cariharto, — ozwał się na to Monipodio, — bo ukaranie winnego do mnie należy; opowiedz nam twą krzywdę; dwóch słów ci wystarczy, aby sprawiedliwość została wymierzona. Czyżby na cześć twoją kto ośmielił się godzić? Jeśli tak i zemsty żądasz, słówko starczy ci pisać.

— Co mi cześć moja? — rzekła Julja, — na tamtym świecie niech mię szanują. Obym tylko mogła więcej szacunku zaznać od tego łajdaka, który jest lwem z owieczkami i jagnięciem wobec ludzi. Z tym nieponiem miałabym jeszcze chleb wspólny spożywać? Niedoczekanie jego! Oby szakale raczej poszarpały mię w kawałki! Spójrzycież tylko jak mię urządził.

Z temi słowy podniosła suknię aż do kolan i nieco wyżej jeszcze, pokazując nogi pełne pręg i sińców:

— Oto jak mię ubrał ten podły Repolido, który więcej dobrego mi zawdzięcza niż matce, która go na świat wydała. A wiecie dlaczego to uczynił? Myślicie może, że ja mu dałam powód? Otóż nie, było tak, że grał i przegrywał i nie mając już gotówki, przysłał mi swego pacholka, Cabrilla, abym mu dała trzydzieści reali; posłałam mu tylko dwadzieścia cztery, wszystko co mogłam, aby trud, z jakim zarobiłam te grosze, policzony mi był przy odpuszczeniu grzechów. I oto, w zamian za moje dobre serce, ten rozbójnik, myśląc że ukryłam coś przed nim z rachunku, który on sobie wyobraził, dziś rano wywiódł mię na pole za sady królewskie i tam, wśród drzew oliwnych, rozebrał mię do naga i począł mię bić paskiem skórzanym, nie zdając się nawet kłamry żelaznej a tak mię wymłócił, że nawpół żywa zostałam wśród pola. Obym go mogła w kajdanach oglądać! Te sińce, które widzicie, są dostatecznym świadectwem, że szczerą prawdę wam mówię.

(d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO BOGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliśczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Małankiewicza, Nowogrodzka 17.